

SON

10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

FRAGMENTY
KSIĄŻKI

TAI BEZ HAMULCÓW
WOFFINDEN

ORAZ PETER OAKES

AUTOBIOGRAFIA

TAI BEZ HAMULCÓW
WOFFINDEN
ORAZ PETER OAKES **AUTOBIOGRAFIA**

TŁUMACZENIE: TOMASZ JASTRZĘBSKI

KRAKÓW 2020

ŚMIERĆ OJCA

Oglądałem kiedyś wideo z Travisem Pastraną. Powiedział, że w ramach przygotowań do wykonania podwójnego przewrotu w tył na motocyklu mentalnie pogodził się z faktem, że może skończyć sparaliżowany, a nawet umrzeć. Przeżył te wszystkie scenariusze w swojej głowie, zanim przystąpił do próby. Po obejrzeniu tego materiału zrobiłem podobnie.

Odegrałem w swojej głowie wszystkie etapy choroby taty. Setki razy wyobrażałem sobie jego śmierć – jego ostatnie chwile w szpitalu, pogrzeb, tego typu rzeczy. Kiedy Tata odszedł naprawdę, czułem się, jakbym odgrywał przygotowaną rolę, bo już to przerobiłem.

Leżąc w łóżku, wyobrażałem sobie, że Tata nie żyje, że idę do krematorium, niosę jego trumnę, przemawiam na pogrzebie. Powtórzyłem sobie ten scenariusz tysiące razy, więc byłem na to przygotowany. I to pomogło.

Parę miesięcy po tym, gdy dowiedziałem się, że Tata ma raka, leżałem w swoim łóżku. On siedział z mamą w salonie, a ja obracałem to wszystko w swojej głowie. Myślałem: Taty tu nie ma. Jak to będzie, kiedy całkiem go zabraknie? Jakie sprawy trzeba będzie pozafatwiać po jego śmierci? Ludzie

będą przychodzić i pytać: „Trzymasz się jakoś?”. Wyobrażałem sobie to wszystko. Wyobrażałem sobie, że wchodzę do parku maszyn w Wolverhampton pierwszy raz po śmierci taty i wszystkie napotkane osoby składają mi kondolencje. Raz po raz przeżywałem tę scenę w swoim umyśle. Wiem, że to dziwne, mało kto to rozumie. Jednak dzięki temu było mi dużo łatwiej odnaleźć się w tej sytuacji, kiedy stała się rzeczywistością, bo już to przeszedłem. Przeszedłem to wszystko setki razy.

Dzięki temu dużo łatwiej było mi pożegnać się z ojcem i to ja odciągałem mamę od jego łóżka, a nie ona mnie. Ta sytuacja była dla niej bardzo ciężka. Jestem pewien, że nie przygotowywała się do tego tak jak ja. Wydaje mi się, że nawet nie była w stanie wyobrazić sobie śmierci taty. Ludzie pytali: „Jak sobie z tym radzisz?”. Cóż, każdy ma swoje metody.

Te wyobrażenia weszły mi w nawyk. To dzięki temu były tak skuteczne. Najtrudniejszą częścią, o czym opowiem później, było dla mnie odczytanie napisanego przez Tatę listu pożegnalnego. Wszystko inne zniosłem w miarę dobrze, ale ten moment kosztował mnie wiele. Nieważne, jak bardzo chciałbyś się przygotować, nigdy nie będziesz do końca gotowy na przemowę nad trumną bliskiej osoby.

Lekarze nie owijali w bawełnę. Powiedzieli Tacie wprost, że jego stan jest terminalny i że zostało mu prawdopodobnie sześć–dziewięć miesięcy życia. Przez prawie pół roku trzymaliśmy ten fakt w tajemnicy. O nowotworze nie wiedział nikt poza najbliższą rodziną i przyjaciółmi – mimo że ludzie czasami pytali ojca, czy dobrze się czuje, kiedy wyglądał na zmęczonego.

W niewielkiej wiosce zwanej Guinness, około pięciu kilometrów od Scunthorpe, kupiliśmy nowy dom, który wymagał lekkiego remontu.

Tak więc pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, było urządzenie w ogrodzie porządnego warsztatu. Tata krzątał się tam nieustannie, pochłonięty pracą. Chciał mieć pewność, że dom będzie skończony przed jego śmiercią. Bardzo mu zależało, żebyśmy mogli spędzić tam rodzinne Świąta.

W sierpniu choroba rozwinęła się na tyle, że nie dało się jej dłużej ukrywać przed światem, więc zaczęliśmy się dzielić tą wiadomością z innymi. W środowisku żużlowym wieści rozchodzą się szybko.

W pewnym sensie poczułem wtedy ulgę. Ojciec cały czas dostawał chemię; cykl chemioterapii trwał trzy tygodnie, po których następował tydzień przerwy. Potem znowu trzy tygodnie chemioterapii i tak dalej, i tak dalej.

Chudł i mizerniał w oczach, mało jadł i czuł się bardzo kiepsko, a mimo to starał się być na wszystkich moich meczach w Anglii, choć musiało to być dla niego strasznie wyczerpujące.

W sezonie 2008 jeździł też ze mną do Szwecji i Polski. W Elitserien podpisałem kontrakt ze słynnym klubem Vargarna Norrköping, natomiast w Polsce jeździłem dla Włókniarza Częstochowa, występującego wówczas w Ekstralidze.

O ile dobrze pamiętam, w tamtym sezonie Tata nie opuścił ani jednego mojego występu. Natomiast w roku 2009 jego stan się pogorszył i do Szwecji już więcej nie pojechał, a w Polsce zaliczył chyba tylko dwa spotkania na wiosnę.

Towarzyszył mi na zawodach tak często, jak tylko był w stanie, zarówno w lidze angielskiej, jak i w trakcie indywidualnych mistrzostw świata juniorów. Pamiętam, że na finale IMŚJ w Chorwacji czułem się tak źle, że nie miałem siły dosłownie na nic. Całe zawody przesiedział na trybunach w towarzystwie swoich przyjaciół, Neila Machina oraz Trevora Hardinga, który przyjechał wtedy z Australii.

Ojciec nie pojawił się w parku maszyn, ale był szczęśliwy, gdyż bardzo chciał zobaczyć mnie w finale mistrzostw świata juniorów.

Marzył też o tym, żeby móc jeszcze obejrzeć inaugurację sezonu 2010, ale nie zdążył.

To wydarzenie było punktem zwrotnym w moim życiu oraz karierze. Szkoda tylko, że musiałem stracić ojca, żeby dorosnąć do pewnych rzeczy.

Ciekawe, czy gdyby nadal żył, to byłbym teraz trzykrotnym mistrzem świata, czy pozostałoby to w sferze marzeń?

Kto wie?

ŻYCIE W PERTH

Wyjechaliśmy do Perth w poszukiwaniu nowego życia. Nie pamiętam zbyt wiele z tego okresu, poza tym, że co rusz się przeprowadzaliśmy. Każdy kolejny dom znajdował się coraz bliżej plaży. Ojciec harował jak wół, żeby podnieść standard naszego życia – przy czym wyglądało to tak, że kiedy tylko zapuściliśmy korzenie w jakimś miejscu, Tata wpadał i mówił: „Dobra, ten dom już odpicowaliśmy. Czas go sprzedać i kupić większy”.

I tak bez przerwy. Przeprowadzka, zmiana szkoły, znowu przeprowadzka, znowu zmiana szkoły. W ten sposób rodzice starali się zapewnić nam lepszą przyszłość.

Zaczynaliśmy w tanim domku na przedmieściach Perth. Heathridge, bo tak nazywała się ta okolica, było całkiem przyzwoite, choć niezbyt prestiżowe. Więcej warte są nieruchomości bliżej wybrzeża. Chodziłem w sumie do czterech różnych szkół: Edgewater Primary School, Heathridge Primary School, Beaumaris Primary School i Ocean Reef Senior High School.

W dzieciństwie często przydarzają nam się rzeczy, które potem prześladują nas przez resztę życia. Może to być na

przykład zły sen, który przyśnił się dawno temu, ale cokolwiek by się działo, nie da się o nim zapomnieć. W moim przypadku jest to historia, która, niestety, wydarzyła się naprawdę i do dziś chwyta mnie za gardło.

Mój ojciec pracował wówczas w firmie Formula Cars and Commercials, jednym z największych komisów samochodowych w regionie. Do dziś znajduje się na rogu Prindiville Drive i Lindsay Road w Wangarze, dzielnicy na przedmieściach Perth. Na każdym kroku przeróżne firmy, rodzinne biznesy, wszędzie tłok i hałas. Typowa okolica handlowo-przemysłowa.

Naprzeciw komisowi znajdował się klub karate, do którego przez jakiś czas chodziłem. Miałem może z osiem–dziewięć lat. Tamtego feralnego dnia nie mogłem doczekać się zajęć, więc z nudów pobiegłem sobie do tego klubu na drugą stronę ulicy.

Spotkałem tam chłopca. Nie pamiętam, jak miał na imię. Wiem tylko, że powiedziałem do niego:

– Chodź na drugą stronę ulicy, pobawimy się u mojego taty na placu.

Zapytałem jego mamy, czy mogę go tam zabrać, pozwoliła. Przebiegłem przez jezdnię i obejrzałem się za siebie – a ten chłopiec ruszył za mną, nie patrząc na drogę. Wpadł prosto pod nadjeżdżający samochód.

Kierowca nie miał żadnych szans. Ten mały też nie. Zgiął na miejscu...

Siła uderzenia była tak duża, że dzieciak wyładował dobre pięć, sześć metrów dalej.

Ta chwila nadal śni mi się po nocach. Bo to była, jakkolwiek by patrzeć, moja wina.

To ja mu powiedziałem, żeby przyszedł pobawić się na plac. Gdyby nie ja, to nigdzie by się nie ruszył. Nie wbiegłby na jezdnię, nie wpadłby pod samochód, nie straciłby życia.

Dreńczy mnie to do dziś. Każdy mi mówi, że przecież też byłem tylko dzieckiem, ale...

Chłopaczek był trochę młodszy ode mnie, miał tak z pięć-sześć lat. Był tam z mamą, która akurat odprowadzała na zajęcia taekwondo swoje starsze dziecko. Młodszy miał po prostu chwilę poczekać.

Ludzie powtarzają mi, że nie muszę się czuć winny. Że to był tragiczny wypadek. Że widać los tak chciał, jakkolwiek brutalnie to brzmi.

W każdym razie nie miał żadnych szans. Zderzenie zmasakrowało mu głowę. Tata również mocno to przeżył, bo jako pierwszy przybiegł na miejsce i ujrzał małego w stanie... takim, jakim był. To była straszna chwila. Dla nas, dla tego kierowcy, a najbardziej, oczywiście, dla matki tego dziecka.

I to wszystko przeze mnie. Trzeba było go nie zagadywać, nie zapraszać na ten plac.

W życiu każdego człowieka zdarzają się bolesne doświadczenia, które zostają z nami na resztę życia. Dla mnie to wydarzenie jest takim właśnie doświadczeniem. Nigdy tego nie zapomnę.

Pamiętam to wszystko, jakby działo się wczoraj.

W taekwondo byłem całkiem niezły. Sześć dni przed moimi 11. urodzinami zdałem egzamin na czarny pas.

Certyfikat z egzaminu zachowałem do dziś i od czasu do czasu rzucam sobie na niego okiem. Umieszczono na nim taką formułę:

Czarny pas symbolizuje wejście na określony poziom. Osoba, która go osiągnęła, jest świadoma znaczenia dyscypliny. Rozumie, że pokój, harmonia oraz prawda są kluczem do absolutnego szczęścia, i jest gotowa przekazywać tę wiedzę innym. Zgodnie z konstytucją i statutem Action International Martial Arts Association zaświadcza się, że posiadacz tego certyfikatu osiągnął niniejszy cel.

Pewne życiowe lekcje zostają z nami na zawsze. Nawet najdrobniejsze rzeczy mają wpływ na to, kim się stajemy. Zostają w pamięci, kształtują nasze ścieżki. Myślę, że nauka taekwondo przydała mi się w życiu. Byłem wychowywany w dyscyplinie. Za każdym razem, gdy coś przeskrobałem, ojciec ustawiał mnie do pionu. Takich sytuacji było mnóstwo.

Do szkoły w Ocean Reef poszedłem, mając 13 lat. Opuściłem ją przed 15. urodzinami, czyli spędziłem tam w sumie półtora roku. Każdego dnia wychodziłem do szkoły bez marudzenia. Ze wstawaniem też nie miałem problemu. Ale to nie na lekcje mnie tak ciągnęło. Szedłem sobie na plażę, żeby palić zioło! Zmontowałem sobie nawet takie cudaczne bon-go z kubka i długopisu.

W szkole byłem łobuzem. Niemal codziennie wicedyrektorka wzywała moich rodziców na rozmowę i mówiła: „Tai przeszkadza na lekcjach, Tai przeszkadza na lekcjach”. Aż

wreszcie nie wytrzymała: „Nie chcemy Taia w naszej szkole, ale żebyśmy mogli go puścić, musi mieć pracę”.

Z mojej perspektywy brzmiało to jak „wywalamy cię stąd”, ale faktycznie nie zostałem wyrzucony. Po prostu zamiast do szkoły poszedłem do pracy w firmie Warrior Motorcycles. Był to jedyny sposób, aby skończyć edukację w wieku 15 lat. Masz robotę – jesteś wolny. Nie masz dokąd iść – siedzisz w szkole.

Mając 13 albo 14 lat, wygrałem żuźlowe indywidualne mistrzostwa Australii Zachodniej do lat 16. Powiedziałem wtedy Tacie, że chciałbym wziąć udział w zawodach międzystanowych, bo czułem, że mam szansę na sukces. Byłem szybki, motocykl chodził jak w zegarku, czułem się gotowy na więcej.

Ale Tata odrzekł: „Nie stać nas na wszystko. Musisz wybrać: albo jedziesz do Anglii i spędzisz tam sezon, albo jedziesz na wschód kraju i bierzesz udział w mistrzostwach”.

Młodzieżowe mistrzostwa Australii do lat 16 nie brzmiały jak wielki biznes. Problem w tym, że rundy finałowe odbywały się najczęściej w stanie Nowa Południowa Walia, oddalonym od Perth o 4 tysiące kilometrów. Przejechanie kraju z zachodu na wschód przez nizinę Nullarbor to około dwie doby ciągłej jazdy. Z postojami, oczywiście, jeszcze dłużej. Koszty takiej wyprawy byłyby dla nas dużym obciążeniem. Dlatego też zrozumiałem, kiedy Tata kazał mi wybrać między Anglią a mistrzostwem Australii. Potrzebowałem do namysłu kilku tygodni, aż wreszcie uznałem, że odpuszczam krajowe mistrzostwa.

Nauczyłem się prowadzić samochód, kiedy miałem 12 lat. Jako że Tata miał ten swój komis, zawsze ściągał do domu różne auta, którymi jeździliśmy sobie po torze w Bibra Lake. Robiąc kolejne okrążenia na torze, uczyłem się zmieniać biegi. Na zakrętach jedyńka, dwójka, jedyńka, dwójka, potem trójka na prostych, z powrotem na dwójkę, i tak w kółko. Po kilku rundkach zmienialiśmy kierunek jazdy, tak abym uczył się skręcać w przeciwną stronę. W wieku 14 lat zacząłem podkradać Tacie samochody z placu, kiedy nikt nie patrzył.

TOMASZ GOLLOB I... ZBIGNIEW BONIEK

Runda w Bydgoszczy była jedną wielką fetą na cześć Tomasa Golloba, polskiego czempiona, który po 15 latach jazdy w Grand Prix zdobył upragniony tytuł mistrza świata. Został zaledwie drugim Polakiem w historii, który zdobył mistrzowski tytuł. Jego poprzednikiem był Jerzy Szczakiel, obecnie słabo pamiętany poza Polską, choć jego zwycięstwo na Stadionie Śląskim w Chorzowie w roku 1973 było jedną z największych sensacji światowego żużla. W biegu dodatkowym, decydującym o losach złotego medalu, Szczakiel pokonał samego Ivana Maugera.

Po zwycięstwie Gollob stał się najpopularniejszym oraz najlepiej zarabiającym sportowcem w Polsce. W owym czasie nawet najlepsi polscy piłkarze nie pobierali takich pieniędzy. Jeden z nich, Zbigniew Boniek, uczestnik trzech mundiali, legenda Juventusu, był częstym gościem w boksie Tomasa Golloba. To znaczy ja niespecjalnie wiedziałem, kim jest ten facet, ale rzuciło mi się w oczy, że chłopaki z Polski były mocno podekscytowane na jego widok.

Gollob i Boniek byli dwoma najbardziej rozpoznawalnymi twarzami Bydgoszczy. Nawet kiedy Zibi został prezesem Polskiego Związku Piłki Nożnej, nadal pojawiał się na stadionach żużlowych.

Tomasz zaś kontynuował regularne występy w Grand Prix aż do końca 2013 roku. W kwietniu 2015 otrzymał dzięką kartę na GP Polski na PGE Narodowym, gdzie nastąpiło jego oficjalne pożegnanie z cyklem. 58-tysięczna widownia zgotowała mu prawdziwie królewski benefis.

Po rozstaniu z GP Gollob jeszcze przez dwa lata występował w Ekstralidze w barwach GKM-u Grudziądz. W kwietniu 2017 roku, niemal równo dwa lata po jego pożegnalnym turnieju w Warszawie, na torze motocrossowym uległ wypadkowi, który zmienił jego życie. Los bywa okrutnie przewrotny. Facet przejechał w swojej karierze tysiące biegów żużlowych i miał się dobrze – a u samego kresu kariery rozbił się na motocrossie.

Informację o wypadku Golloba ujawnił nie kto inny jak jego przyjaciel, Zbigniew Boniek. Tuż po zdarzeniu Tomek został przetransportowany śmigłowcem ratowniczym do szpitala w Bydgoszczy, gdzie przeszedł operację kręgosłupa. Nigdy więcej nie wrócił na tor.

Nie chcę wypowiadać się źle o Tomaszu, ale pewnego razu bardzo mocno mnie wkurwił. Było to w 2013 roku podczas Grand Prix Skandynawii w Sztokholmie na Friends Arena. O mało nie straciłem wtedy przez niego szans na zdobycie tytułu.

Stadion w Sztokholmie jest bardzo przyjemny, z tym że nie jest to obiekt typowo żużlowy, zatem każdego roku budowano tam tor od nowa. W związku z tym nie da się

przewidzieć, gdzie będą optymalne ścieżki, więc trening jest absolutnie kluczowy – przynajmniej dla mnie.

Szukając prędkości, testuję przeróżne ustawienia. Na przykład proszę moich mechaników, żeby trochę osłabili załon, żebym mógł mocniej wejść w wiraż. Chcę złapać jak najlepszą przyczepność.

Podczas treningu Tomaszowi jak zawsze towarzyszył na płycie jego menedżer oraz mechanicy. Zauważyłem, że na kolejnych okrążeniach Gollob wychodzi z wirażu na pół albo i na ćwierć gazu. Patrzył na swój team i kręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „to nie to”. Ja, przyjeżdżając na trening, dopasowuję swój sprzęt do warunków, jakie będą panowały na zawodach.

A na zawodach było tak: Tomasz wyprzedził mnie ze startu, ale na wejściu w drugi wiraż miałem więcej prędkości od niego, bo byłem lepiej spasowany. Byliśmy bardzo blisko siebie, więc kiedy Gollob znowu przymknął gaz, nie mogłem nic zrobić. Wpadłem w jego tylne koło i obaj poleciliśmy.

Ja wylądowałem na bandzie i uszkodziłem sobie i tak już pogruchotany obojczyk – natomiast Tomek przeleciał przez kierownicę, z dużym impetem uderzył głową w tor i stracił przytomność. Został umieszczony na desce ortopedycznej i zabrany do szpitala. Był to jego ostatni bieg w Grand Prix w roli stałego uczestnika cyklu.

Było mi bardzo przykro z powodu tego zdarzenia. Gollob nie zasłużył sobie, żeby „przejsć na emeryturę” w taki sposób. Nie twierdzę, że ten wypadek to była jego wina, oczywiście, że to ja na niego wpadłem. Warto jednak wziąć pod uwagę to,

co mówiłem o piątkowym treningu. Ja z wyjścia dokręcałem gaz, Tomasz zwalniał; gdybyśmy obaj utrzymywali równe tempo na wirażu, pewnie do tej kolizji by nie doszło.

Niemniej bardzo szanuję tego faceta. Miał długą i piękną karierę. Jest żywą legendą żużla.

ŻONA FAYE

W czwartek, 23 kwietnia, byłem w restauracji Nando's w Nottingham na mojej pierwszej randce z Faye Cupitt. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ta cudowna dziewczyna po drugiej stronie stolika, która następnego dnia skończyła 18 lat, zostanie moją żoną.

Wyczałem Faye na Instagramie tydzień wcześniej. Od razu niesamowicie mi się spodobała. Napisałem do niej, gadka szmatka przez kilka dni, aż wreszcie umówiliśmy się na randkę.

W Perth mieliśmy z Neilem Machinem taki zwyczaj, że kiedy na ulicy albo na plaży mijaliśmy jakąś fajną laskę, Neil pytał mnie:

– Ej Tai, ile byś dał w skali od zera do dziesięciu?

Na to ja, że sześć–siedem. Góra osiem, jeżeli naprawdę było na co popatrzeć.

Faye ma u mnie absolutnie dziesięć punktów!

Sportowo w sezon 2013 wchodziłem z dziką kartą cyklu Grand Prix. Według bukmacherów: jako outsider bez większych szans na zwycięstwo. Życiowo – kawaler, zadowolony z przywilejów takiego stanu rzeczy.

Ale odkąd „złapałem” Faye na Instagramie, skrupulatnie zapisywałem sobie przebieg wszystkich naszych wspólnie spędzonych dni. Powstała z tego swego rodzaju kronika naszego związku, która przypomina nam, jak rozwijała się ta znajomość, podczas gdy ja goniłem za medalem. Jak Faye po raz pierwszy widziała mnie w akcji na Grand Prix w Cardiff. Nasze pierwsze wspólne wakacje. Jej obecność, gdy odbierałem złoty medal, i wspólne świętowanie w Las Vegas na przyjęciu Monster Energy.

Dzięki temu dzienniczkowi mogę wrócić do 2013 roku i ponownie przeżyć tę emocjonalną podróż, której zwieńczeniem był mój pierwszy tytuł mistrza świata – zarazem pierwszy dla Wielkiej Brytanii od czasów Marka Lorama i sezonu 2000.

Loramowi udało się zdobyć tytuł, choć nie wygrał żadnej z sześciu rund. Tym samym udowodnił, że w Grand Prix równa forma ma większe znaczenie od efektownych zwycięstw.

Mnie też udało się wygrać tylko jedną rundę – Grand Prix Czech na praskiej Markécie. O wiele bardziej liczyło się jednak to, że regularnie kwalifikowałem się do półfinałów. To bowiem oznaczało, że utrzymywałem się w czołowej ósemce. Dotarłem do półfinału aż w dziesięciu z dwunastu rund. Nie udało mi się to jedynie w Cardiff, gdzie zawody zakończyłem w szpitalu ze złamanym obojczykiem, oraz w przedostatnim turnieju sezonu – Grand Prix Skandynawii w Sztokholmie. W wyniku kolizji z Tomaszem Gollobem odnowiła mi się kontuzja, której nabawiłem się w Walii. Mimo to zaciśnałem zęby i kontynuowałem jazdę. Udało mi się uzbierać jeszcze

siedem cennych punktów. Niestety, ból zmusił mnie do rezygnacji z udziału w moim ostatnim biegu.

W ciągu siedmiu lat trzy razy zdobyłem tytuł mistrza świata, a ponadto dwukrotnie kończyłem cykl na niższych stopniach podium: drugim w 2016, trzecim w 2017 roku. Jak dotąd medal przeszedł mi koło nosa tylko w sezonie 2014. Uplasowałem się wtedy tuż poza podium, ponieważ przegrałem z Nickim Pedersenem bieg dodatkowy o trzecie miejsce. W klasyfikacji generalnej mieliśmy bowiem równą liczbę punktów. I to mimo że przez kontuzję dłoni musiałem opuścić Grand Prix Polski w Gorzowie! Jeśli tylko byłbym zdrowy i zdobyłbym wtedy choć jedno oczko, skończyłbym sezon z brązowym medalem.

Gdyby zapytać ludzi, ile rund Grand Prix wygrałem pomiędzy tym fatalnym rokiem 2010 a początkiem sezonu 2019, założę się, że większość by nie zgadła.

Odpowiedź brzmi – jedenaście. Niezbyt wiele jak na 82 zaliczone rundy.

Pierwsze zwycięstwo przyszło w moim 15. turnieju, jeśli nie liczyć kilku zawodów, w których występowałem jako rezerwa. W tym momencie byłem już znacznie bardziej doświadczony i pewny siebie niż w roku 2010. Słowem, byłem już gotowy na Grand Prix. Kiedy ponownie dostałem propozycję dzikiej karty, nie zastanawiałem się długo.

Od pierwszej, nieudanej przygody z GP minęły dwa lata. W międzyczasie zdążyłem zdobyć drugie w karierze mistrzostwo Wielkiej Brytanii do lat 21 w roku 2011. Również sezon 2012 był w moim wykonaniu solidny. Przed podjęciem

ostatecznej decyzji skonsultowałem się z Peterem Johnsem oraz menedżerem mojej drużyny, Pete'em Adamsem. Wszyscy mówili mi, że warto spróbować.

Tym razem miałem pewność, że jestem na to gotowy. Oczywiście, wracałem do Grand Prix po dłuższej przerwie i musiałem nauczyć się wielu rzeczy od nowa, ale podchodziłem do tego w ten sposób, że oto dano mi drugą szansę, której nie mogę zmarnować. Nie chciałem być jednym z tych zawodników, którzy rok w rok czekają na dziką kartę, więc zacząłem od przygotowania i uporządkowania wszystkiego przed nowym sezonem.

Przede wszystkim – dojrzałem. W każdym aspekcie. Przystałem balować, wziąłem się do treningów, zacząłem zwracać uwagę na właściwe odżywianie. To zaprocentowało. Gdy w maju 2013 roku wchodziłem na pokład samolotu lecącego do Pragi, która kiedyś kojarzyła mi się co najwyżej z dobrym miejscem na wieczór kawalerski, rozmyślałem tylko o tym, jak poprawić czwarte miejsce w klasyfikacji generalnej.

Byłem w znakomitym humorze. Tydzień wcześniej zdobyłem mistrzostwo Wielkiej Brytanii na torze w Wolverhampton, a z Faye układało nam się bardzo dobrze. Każdą chwilę wolnego czasu spędzałem w towarzystwie jej i jej rodziny. Poznałem jej braci, Layne'a i Mylesa, z którymi natychmiast się zakumplowałem.

Rzadko czuję napięcie przed zawodami, a odkąd Faye jest przy mnie – prawie nigdy. Jej sposób bycia mnie wycisza. Zawsze znajdzie sposób, żeby poprawić mi humor, kiedy jestem w kiepskim nastroju, chociaż tak czy siak przeważnie mam

luz. Może to zasługa dorastania w Australii, gdzie cały czas poza jazdą na żuźlu spędzałem na surfowaniu. Kiedy dajesz się ponieść fali, wznosisz się i opadasz, przestajesz myśleć o całym świecie. Liczy się tylko tu i teraz. Właśnie z takim nastawieniem wyjeżdżam na tor.

Jestem przekonany, że umiejętność zachowania chłodnej głowy bez względu na okoliczności pomogła mi dojść tu, gdzie teraz jestem. Szczególnie w roku 2013, kiedy to w drodze po złoty medal spadły mi pod nogi chyba wszystkie możliwe kłody.

Można powiedzieć, że prowadziłem wtedy kampanię na dwóch frontach: o podbój Grand Prix oraz serca Faye.

„MA PAN ZŁAMANY KRĘGOSŁUP!”

Na drugim kółku zaatakowałem Rosjanina po szerokiej. Wiedziałem, że Łaguta odczytał moje zamiary i będzie chciał zamknąć mi bramę. Problem polegał na tym, że obserwując mój tor jazdy, przestał kontrolować swój. W efekcie wjechał w tylne koło Dawida Lamparta, stracił panowanie nad motocyklem i wpakował się na mnie.

Wpadłem na drewniany płot – akurat tam, gdzie kończyły się dmuchane bandy. Doznałem złamania łopatki, stłuczenia płuca oraz – co wyszło dopiero później – uszkodzenia kręgosłupa.

Dłuższą chwilę leżałem skulony na torze, aż wreszcie karetka zabrała mnie do szpitala. Łaguta zaś został wykluczony przez sędziego z powtórki, a po meczu całą winę zwałił na kolegę z drużyny, który – według niego – jechał za wolno.

Wiedziałem, że jest ze mną źle, ale nie zdawałem sobie sprawy z urazu kręgosłupa. Zdążyłem nawet wypisać się ze szpitala i wyjść z niego na własnych nogach, kiedy tuż za drzwiami dogonił mnie lekarz i zawołał:

– Niech pan wraca! Pan ma złamany kręgosłup!

Myślę sobie: że jak? Zawrócili mnie do środka, położyli na płasko i zrobili badania. Okazało się, że uszkodzeniu uległ krąg Th4, znajdujący się tuż poniżej odcinka szyjnego, pomiędzy łopatkami. Wypisałem się z tego szpitala, wsiadłem do samochodu na miejsce pasażera i pojechałem 400 kilometrów do Wrocławia na spotkanie z ortopedą specjalizującym się w urazach kręgosłupa.

Odbyłem konsultacje z dwoma lekarzami, udałem się do hotelu, wzięłem prysznic i właśnie miałem zabrać się do jedzenia obiadu, kiedy dowiedziałem się, że mam umówioną wizytę z dwoma kolejnymi specjalistami w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu. Chcieli położyć mnie do szpitala na tydzień – kołnierz na szyję, te sprawy.

Najpierw myślałem, że to kontuzja jakich wiele i szybko wrócę na tor, ale kiedy okazało się, że w grę wchodzi uraz kręgosłupa, nieco się zmartwiłem. Wreszcie lekarze powiedzieli, że czekają mnie trzy miesiące przerwy.

Przy tym nikt nigdy nie mówił, że nie wrócę na tor. Mimo to z Polski i ze Szwecji zaczęły przychodzić pytania, czy to koniec mojej kariery. Nie wiem, skąd wzięły się te plotki.

Po paru dniach zacząłem leczenie. Komora hiperbaryczna, terapia ultradźwiękami, fizjoterapia, lasery, pole elektromagnetyczne... Trochę w domu, trochę w Warszawie, trochę w Birmingham, Nottingham i Leicester.

To była ciężka praca. Zwłaszcza siedzenie w komorze tlenowej przez półtorej godziny jest psychicznie trudne do zniesienia. Czasami odbywałem takie sesje dwa razy dziennie,

w zależności od tego, czy było miejsce. Strasznie ryje banię. Ale najbardziej bolało mnie to, że przepadła mi ogromna szansa na złoty medal. Wkurwiałem się też, że ominął mnie wyjazd do Rosji na finał Speedway of Nations.

Ale co poradzić? Mogłem tylko grzecznie chodzić na zabiegi i czekać na powrót do ścigania. Takie życie sportowca. Trzeba się pozbierać i wrócić do tego, co się umie. Nie musiałem się specjalnie motywować do rehabilitacji. Wiedziałem, po co to robię.

Moim celem był powrót na Grand Prix we Wrocławiu na początku sierpnia i to się udało. Miałem niesamowitą frajdę, że znowu jestem na motocyklu. Cieszyłem się, że wracam do ścigania. Wszelkie zdobyte punkty traktowałem w tym momencie jako miły bonus.

Do piątkowych kwalifikacji przystępowałem po dwóch miesiącach bez kontaktu z motocyklem. Po powrocie zorientowałem się, że rywalizacja stoi na niesamowitym poziomie. Jako rekonwalescent czułem tę różnicę jeszcze mocniej. Poza tym miałem problem ze znalezieniem odpowiednich ustawień.

Tor był przygotowany zupełnie inaczej niż na ligę. Wreszcie zdecydowaliśmy się pójść z ustawieniami w dość nietypową stronę i to podziałało. W swoim ostatnim biegu udało mi się przyjechać na drugim miejscu – za Emilem Sajfutdinowem, wyprzedzając Artioma Łagutę i Jasona Doyle’a.

Dobrze było wrócić do gry i czuć prędkość pod siodełkiem. Punkty nie miały większego znaczenia. Gdybym

skończył z zerem na koncie, też bym się nie zmartwił, jednak sześć oczek to zawsze coś. Na pewno więcej, niż gdybym w ogóle nie wystąpił. Tak, fajnie było wrócić.

Długo mnie nie było i cieszę się, że mogę wystąpić na Principality Stadium przed brytyjską publicznością. O ile do większości rund przygotowuję się w stały, sprawdzony sposób, to tę w Cardiff zawsze celebruję specjalnym rytuałem. Dzień przed zawodami wraz z Faye idziemy na kolację z naszymi przyjaciółmi, Darrenem i Lauren Fletcherami. Darren jest dziennikarzem sportowym. Niegdyś można było go usłyszeć w audycji *606*, którą współprowadził z Robbiem Savage'em w radiu BBC Five. Potem został głównym komentatorem futbolu w BT Sports. Pamiętam, że w 2016 roku przegrałem z nim jakiś zakład. Za karę musiałem przyjść na stadion w Cardiff w garniturze. Tak więc zrobiłem.

W piątkowy wieczór tradycyjnie idziemy na kolację do tej samej knajpy, włoskiej restauracji Giovanni's. Właściciel, Giovanni Malacrino – facet o niezwyklej osobowości – ma dwa lokale w centrum Cardiff, oba stosunkowo blisko hotelu i stadionu, więc mamy wybór. Na początku tego roku Malacrino otworzył w Cardiff Bay trzecią restaurację, Piatto Pasta House. Kto wie, może w tym roku wybierzemy się właśnie tam?

Któregoś razu podczas naszej wizyty w kuchni wybuchł mały pożar. Z kolei na początku roku sam właściciel wziął udział w dwóch telewizyjnych programach randkowych, poszukując drugiej połówki. Niestety, bez powodzenia. Ale z Giovannim ciężko się nudzić.

CHCESZ WIĘCEJ?
ZAMÓW KSIĄŻKĘ
TAIA WOFFINDENA
I POZNAJ JEGO HISTORIĘ!



KSIĄŻKA DOSTĘPNA JEST NA
LABOTIGA.PL
A OD 25 MARCA
W DOBRYCH KSIĘGARNIACH
W CAŁEJ POLSCE



10 LAT RAZEM
SINE QUA NON